

O końcu paradygmatu liberalnego. Rozmowa z Bronisławem Wildsteinem

Fundamentem liberalizmu jest idea umowy społecznej. Nie wszyscy liberałowie ją eksponowali, ale jest ona wpisana immanentnie w ten projekt. Liberalizm zakłada, że punktem wyjścia jest indywiduum. Pierwotne porozumienie społeczne polega na tym, że jednostki dogadują się ze sobą co do optymalnej formy porządku publicznego, na który wyrażają zgodę – mówi Bronisław Wildstein w rozmowie z Maciejem Mazurkiem.

Maciej Mazurek: Właściwie żyjemy w takich czasach, kiedy to model liberalny uległ wyczerpaniu. No właśnie, czy można być demokratą, nie będąc liberałem?

Bronisław Wildstein (pisarz, publicysta, filozof): Oczywiście, że tak. To są dwa zupełnie różne porządki. Demokracja określa formę władzy, liberalizm jest pewną filozofią, myślę, że nie tylko polityczną, która ma indywidualistyczny charakter. W dominującej opowieści liberalizm zabezpiecza demokrację przed jej ekscesami. Można powiedzieć, że demokracja zawsze jest narażona na różnego typu skrajności opisywane już przez klasyków. Najbardziej oczywista jest tyrania większości. Pisali o tym między innymi Alexis de Tocqueville czy John Stuart Mill. Trzeba stworzyć system praw zabezpieczający mniejszości i jednostki – obecnie jest to szczególnie akcentowane i wpisane w doktrynę liberalną. Ma być ona niezbędna, żeby stworzyć

zabezpieczenia, gdyż demokracja bez pierwiastka liberalnego ma się stoczyć w autorytaryzm. Nie jest to do końca prawdą, dlatego, że można sobie wyobrazić inne limity rządów większości.

Żywimy zaufanie do ludzi ze swojej wspólnoty, ponieważ wiemy, jak oni będą reagowali. Inaczej nie byłibyśmy tego pewni

Demokracje zachodnie rodziły się z idei republikańskiej. Republika dotyczy innej sfery niż demokracja. Nie mówi, jakie są formy

rządu, ale jak należy traktować wspólnotę polityczną. Fundamentem liberalizmu jest idea umowy społecznej. Nie wszyscy liberałowie ją eksponowali, ale jest ona wpisana immanentnie w ten projekt. Liberalizm zakłada, że punktem wyjścia jest indywiduum. Pierwotne porozumienie społeczne polega na tym, że jednostki dogadują się ze sobą co do optymalnej formy porządku publicznego, na który wyrażają zgodę. Nie chodzi, oczywiście, o dosłowne porozumienie, ale o hipotetyczny kontrakt, bez którego, zgodnie z liberalną doktryną, władza nie jest prawomocna. Mit ten wyrasta z fundamentalnego nieporozumienia. Otóż, powtarzam to do znudzenia i będę powtarzał, człowiek jest budowany przez kulturę. Bez niej jest tylko potencją, wiemy o tym również z doświadczenia, demonstrowają to przypadki dzikich dzieci, które wychowywały się poza cywilizacją i nie znały nawet języka. Nie odbieram im kwalifikacji człowieczeństwa, ale powiedzieć, że jest ono pełne, byłoby nadużyciem. Człowiek realizuje się poprzez istnienie w kulturze, poprzez język, który jest jej przejawem. Jednostka ludzka jest wytworzona przez długie ciągi pokoleń. Tożsamość człowieka jest uzyskiwana w procesie przyswajania kultury, w szeroko rozumianej edukacji. Nie znamy siebie sprzed

kultury. Absorbujemy świat, jednocześnie absorbując kulturę. Stajemy się takimi, a nie innymi istotami również adaptując się do określonego porządku politycznego. Uczymy się konkretnych obyczajów i sposobów zachowywania. Ogromna większość naszych zachowań musi być spontaniczna i bezwiedna, bo inaczej nie bylibyśmy w stanie funkcjonować. Nie możemy zastanawiać się nad każdym wyborem, przed którym stajemy, bo bez przerwy coś musimy robić i wybierać. Działać jesteśmy więc w stanie na zasadzie społecznego nawyku. Dziedziczymy nasze postawy z długiego trwania kultury. Żywimy zaufanie do ludzi ze swojej wspólnoty, ponieważ wiemy, jak oni będą reagowali. Inaczej nie bylibyśmy tego pewni. To wszystko pokazuje, że człowiek istnieje tylko we wspólnocie. Ludzie funkcjonują w kulturze w zbiorowości, w ciągu wspólnot. Począwszy od najbliższej, nuklearnej rodziny, poprzez jej szersze formy, aż po najobszerniejszą wspólnotę, z którą człowiek może się współcześnie identyfikować, czyli naród. Wynika z tego jednoznacznie, że idea umowy społecznej jest jakimś, delikatnie mówiąc, zupełnie abstrakcyjnym wymysłem, który nijak nie przystaje do rzeczywistości. Po to, żeby zawrzeć umowę, potrzebne jest istnienie podmiotów ludzkich, a te wcześniej ukształtowane zostały przez zbiorowości i nigdy nie funkcjonowały i nie mogły istnieć wyabstrahowane. Żyły w naturalnych, w ludzkim sensie, wspólnotach, które uformowały je jako ludzi, dlatego nie mogą zawierać żadnego pierwotnego układu, gdyż są w nim od urodzenia, niezależnie od swojej woli. Owszem, formalizują one między sobą różnego rodzaju porozumienia, ale fundamentalna wspólnota nie ma takiego charakteru. Umowa zakłada przecież dobrowolność i zostaje zawarta, żeby spełniać oczekiwania stron. Funkcjonuję w niej dotąd, dopóki jest dla mnie korzystna. Kiedy przestanie, to mogę ją wypowiedzieć. Konsekwencją umowy społecznej powinno być uznanie, że wszystkie wspólnoty, w których żyję, są dobrowolne i mogę je wypowiedzieć, kiedy przestają mi odpowiadać. Z dnia na dzień na przykład rezygnuję z bycia Polakiem i zostaję Rosjaninem, Chińczykiem albo Hotentotem.

Taki eksperyment intelektualny ukazuje nam absurd tego podejścia. W opisie zjawisk społecznych nie jest wcale potrzebne odwołanie się do liberalnych zasad, aby bronić aksjologicznego porządku, który stanowi cugle dla demokracji. To jest raczej pewien porządek republikański. Republika, jak już mówiłem, nie jest nastawiona na formę rządów, a na podejście do zbiorowości. Odwołuje się do *res publica*, czyli do rzeczy wspólnej, gdzie jesteśmy połączeni choć jednocześnie bardzo różni, indywidualnie i grupowo, ale łączy nas coś fundamentalnego, co przekracza nasze różnice. To powoduje, że stajemy się ciałem politycznym i możemy wspólnie działać. Nie ulegamy ekscesom, które można obserwować w demokracji. A dodatkowo funkcjonujemy w dłuższym okresie, który przekracza nasze indywidualne bytowanie, dziedziczymy określony kształt wspólnoty i mamy obowiązek przekazać ją w jak najlepszym stanie przyszłym pokoleniom.

Problem polega na tym, że elity zaczęły traktować sformułowanie demokracja liberalna jako pleonazm. A tymczasem, można powiedzieć, że liberalizm stał się dzisiaj wrogiem demokracji. To już tak daleko zaszło, że chyba można się pokusić o taką tezę.

Liberalizm zawsze był trochę pod prąd demokracji. obrońcy wolności, tacy jak wspomniany wcześniej Tocqueville, obawiali się demokracji jako tej, która wolność może stłumić i unieważnić. Swoją drogą nazywanie każdego rzecznika wolności, na przykład Tocqueville'a, liberałem jest zupełnie nieadekwatne, ponieważ było mu bardzo daleko do tej orientacji. Charakterystycznym dla współczesnego podejścia jest uznawanie wszystkich, którzy odwołują się do wolności za rzeczników liberalizmu. Tymczasem jest to bardzo szczególna koncepcja wolności, która wyraża się w jednostronnym i spaczonym jej negatywnym wariacie. To wyłącznie *wolność od*, która ma prowadzić człowieka do

przekroczenia wszelkich zakazów. Również w sensie aksjologicznym czy ideowym. Wprost pisał o tym w swoim sławnym eseju z połowy XX wieku pod tytułem „Dwie koncepcje wolności” Isaiah Berlin, który jest jednym z prawodawców współczesnej doktryny liberalnej. Klasycy zachodniej cywilizacji wskazywali, że ludzie, którzy są uwolnieni od wszelkich ograniczeń kulturowych, wpadają we władzę popędów. Czy człowieka, który jest podporządkowaną biologii igraszką popędów, można nazwać wolnym? W żadnym wypadku. Właśnie kultura i polityka stwarzają przestrzeń swobody dla człowieka. Istnieje wszakże również *wolność do*, czyli zdolność kształtowania rzeczywistości na miarę swoich oczekiwań, a jest ona możliwa wyłącznie we wspólnotowych działaniach. Czy liberalizm nie stał się wrogiem demokracji? Określenie liberalna demokracja zaczyna przypominać znany nam z najnowszej historii realny pleonazm, czyli demokrację ludową. Tak komuniści nazywali swój system. Oczywiście nie miał on nic wspólnego z rządami większości. Krążył wówczas pogładowy dowcip: czym się różni demokracja od demokracji ludowej? Tym, czym krzesło od krzesła elektrycznego.

Analogia ta staje się coraz bardziej adekwatna w stosunku do demokracji liberalnej, w którą wpisany jest coraz ciaśniejszy zespół praw, które określają jej granice. Chodzi o prawa stanowione, tworzące ramy życia społecznego. W projekcie emancypacyjnym, o którym już mówiłem, prawo to zaczyna znaczyć coś innego niż w jego klasycznym ujęciu. Jest procesem, który coraz głębiej interweniuje w sam rdzeń ludzkiej egzystencji. Demokracja liberalna zamyka człowieka w coraz ciaśniejszej siatce przepisów, które redukują polityczne działanie tak bardzo, że pozbawiają go znaczenia. Z zasady prawa mają być granicą dla polityki, ale ich coraz ciaśniejsza współcześnie struktura i postępujący charakter odbierają oddech polityce, a więc i demokracji. Widzimy to w Polsce, ale także na zachodzie. System ten coraz bardziej

kiełzna i unieważnia wolę ludu. Działa na zasadzie reguły Henry'ego Forda: „macie do wyboru każdy z kolorów, pod warunkiem, że będzie on czarny”. Wszyscy możecie wybrać jakie chcecie partie, tylko one mają prawo mówić i robić to samo, czyli to, co narzuca im dominująca ideologia. W efekcie układ tradycyjnych partii w świecie zachodnim, zwłaszcza w Europie, się zhomogenizował. W Ameryce jest nieco inaczej, chociaż i tam postępowała tendencja do ujednoczenia, ale przerwał ją Donald Trump. To już oddzielny temat. obrońcy i teoretycy demokracji liberalnej w Polsce nie należą do wybitnych intelektualistów, może tylko nieco inaczej jest na zachodzie...

Jedną z takich osób jest Mark Lilla.

Jego ostatnia książka „Koniec liberalizmu, jaki znamy” jest krytyką jego obecnej „tożsamościowej” odmiany. Tożsamość w tym ujęciu ma ideologiczny charakter i odnosi się wyłącznie do jej „transgresywnego” wariantu, czyli odmienności preferencji seksualnych czy kulturowej inności, którą usiłują narzucić nam określone grupy imigrantów. W tym sensie Lilla jest mniej jednoznaczny. Bardziej reprezentatywnym autorem i jednocześnie wpływowym dziennikarzem jest Fareed Zakaria. Jego książka „Przyszłość wolności. Nieliberalna demokracja w Stanach Zjednoczonych i na świecie” jest charakterystyczna dla mentalności współczesnego liberała. Fareed Zakaria jest Hindusem, który zrobił karierę w USA. Jest jednym z ważniejszych publicystów w „Newsweeku”. Ma swoje ważne audycje polityczne w telewizji. To jeden ze znaczących komentatorów politycznych w Stanach Zjednoczonych, a co za tym idzie, także na świecie; to reprezentant współczesnej, globalnej elity. Wszędzie broni dotychczasowego status quo. W swojej książce opisuje jakim fatalnym zjawiskiem jest erupcja populizmu na świecie, między innymi w Indiach. Píše o tym, jak dobre były rządy

Kongresu Narodowego, do którego należała jego rodzina, zajmująca znaczące pozycje w strukturach władzy w Indiach. Te rodzinne związki nie są bez znaczenia, co Zakaria sam nieświadomie wskazuje. Jego przeświadczenie, że dobrze jest, kiedy to my sprawujemy władzę, nie jest specjalnie zawoalowane. Nie wspomina on nawet o wielkich problemach Kongresu Narodowego w Indiach, o budowaniu przez tę partię skorumpowanego, oligarchicznego modelu. Broni tamtego systemu, tak samo jak status quo w Europie i Stanach Zjednoczonych. Wspomniana książka została okrzyknięta dziełem na miarę Tocqueville'a, co nie najlepiej świadczy o jej chwalcach. Autor nie przemyślał swoich podstawowych założeń i jest nieświadomy konsekwencji swoich tez. Chociaż wskazuje pewne realne problemy demokracji amerykańskiej, nie potrafi ich zanalizować.

Obywatele nie mogą nieustannie angażować się w sprawy publiczne, ponieważ mają swoje życie prywatne i zawodowe. Od polityki są przecież profesjonaliści, którzy mają ich reprezentować

Otóż w latach 60. w USA pojawiło się wezwanie, aby zdemokratyzować, czyli ubezpośrednić demokrację, nie tylko zablokować jej postępującą petryfikację, ale wydobyć idealny

kształt tego ustroju. W związku z tym na szeroką skalę wprowadzono wówczas w Stanach Zjednoczonych prawybory do władz ustawodawczych i coraz szerzej stosować zaczęto referendum. Okazało się, że działania te, które miały być tak zwanym urealnieniem demokracji, prowadziły do odwrotnych efektów. Obywatele nie mogą nieustannie angażować się w sprawy publiczne, ponieważ mają swoje życie prywatne i zawodowe. Od polityki są przecież profesjonaliści,

którzy mają ich reprezentować. Toteż silne grupy nacisku potrafiły wykorzystać wezwania do bezpośredniej demokracji, aby przeforsować swoją wolę na przykład w referendach, które sprowadzają bardzo złożone problemy polityczne do odpowiedzi typu „tak” lub „nie”. Obywatele zwykle nie zdają sobie sprawy z tego, jakie są konsekwencje tych wyborów, a to stwarza doskonałe warunki dla tych, którzy mają duże środki i zależy im na narzuceniu ludziom wyobrażenia spraw, których one dotyczą. Problemy, o których pisze Zakaria, są realne. Wyobrażenie, że polityk ma permanentnie konsultować się ze swoim elektoratem, który będzie mu mówił co ma robić, powoduje pojawienie się pętających go mechanizmów, nie znaczy jednak, że zbliża do zwykłych ludzi, wręcz przeciwnie: czynią go zakładnikiem silnych grup wpływu. Fareed Zakaria nie rozumie jednak, że jest to konsekwencja szeroko rozumianej ideologii emancypacji, odchodzenia od tradycyjnych form uprawiania polityki, które istniały w Ameryce na rzecz utopijnych wyobrażeń demokracji bezpośredniej.

Gdybyśmy analizowali obronę status quo przed populizmem, którą formułuje Zakaria, to wydawać by się mogło, że bliska jest mu klasyczna konserwatywno-arystokratyczna postawa, zgodnie z którą rządzić powinni najlepsi. To była idea republikańska, która leżała u podstaw tworzenia ustroju Stanów Zjednoczonych. Republikanie demokrację traktowali z dużą rezerwą. Chcieli wbudować w nią bezpieczniki broniące przed demokratycznym chaosem, który powoduje niestabilność i uniemożliwia prowadzenie spójnej polityki, prowadzi też do zaniku dobra wspólnego na rzecz pogoni za interesami rozmaitych grup. Można powiedzieć, że tradycyjna władza sądownicza do pewnego stopnia pełnić miała rolę dawnej arystokracji. Jej etos odwoływał się do bardzo twardego porządku wartości i dyscypliny społecznej. Postawy współczesnych prawników czy ogólnie elit społecznych sytuują się jednak na antypodach tego, co uzasadniać

miało wyższą pozycję ich poprzedników. Nie mają więc żadnej legitymacji, żeby pełnić tę szczególną rolę. Oni zresztą uzasadniają swój status ideologicznie, występują jako rzecznicy postępu i emancypacji.

Odwołują się do ideologii praw człowieka.

No właśnie, prawa człowieka są przykładem zdeprawowanej idei. W tej chwili oznacza ona koncert życzeń i jest wykorzystywana przez silniejszych, aby narzucać swoje wyobrażenia o tym jak powinny być rozwiązywane sprawy kosztem demokracji, czyli woli większości. Pierwotnie naturalne uprawnienia wyrastały z religii. Pierwszym, który je formułował był John Locke. Początkowo były dość ograniczone. Wymieniano prawo do życia, wolności i własności. Nic więcej. To były prawa negatywne w tym sensie, że określały granicę, poza którą władza nie może się posunąć. To znaczy nie ma prawa odbierać obywatelom życia, wolności i własności bez określonych uzasadnień np. sądowych. Jest to stosunkowo łatwe do zagwarantowania: czegoś władzy nie wolno robić i już. Wraz z rozwojem nowej ideologii zaczęto zmieniać charakter praw człowieka. Pierwszym dokumentem, który to wskazuje jest Powszechna Deklaracja Praw Człowieka ONZ z 1948 roku. Na początku zawiera rozpisane na konkretne paragrafy podstawowe prawa, ale zaraz za nimi w art. 21 pojawia się prawo do życia w – choć nie nazwanej wprost – demokracji, co już budzi wątpliwość, ponieważ demokracja wyrasta z określonej kultury. Nie będzie funkcjonowała bez określonego, cywilizacyjnego fundamentu. Widzimy to dzisiaj między innymi w Afryce. W społeczeństwach klanowych demokratyczny ustrój nie ma racji bytu. Robienie z demokracji prawa człowieka jest nieporozumieniem. Ale dalej w Deklaracji ONZ jest już tylko gorzej, pojawia się koncert życzeń, nonsensy typu prawo do wolnego

wypoczynku, godziwego życia, uczestnictwa w kulturze. Kto na jakiej zasadzie i w jakim zakresie ma to załatwiać? Gdzie są granice? To powinna być domena zwyczajnej polityki, gdzie się negocjuje, ustala rozmaite interesy, w której ludzie się porozumiewają jak dzielić między sobą zawsze ograniczone dobra. Ale to nie są żadne prawa, które da się egzekwować. Z czasem zaczęto do tego dodawać jeszcze prawa kolektywne, które wchodziły w konflikt z prawami indywidualnymi. Teraz prawa człowieka są głównym narzędziem, które służy przeprowadzeniu rewolucji emancypacyjnej. Są to roszczenia mniejszościowych, coraz bardziej egzotycznych grup, pretensje homoseksualistów czy kolejnych płci i mniejszości do wszystkiego, co tylko im do głowy przyjdzie. Dlaczego nastąpiła taka ewolucja? Dla Locke'a i twórców idei praw człowieka, czy też dla amerykańskich ojców założycieli demokracji prawa człowieka są absolutnie i nierozdzielnie związane z ideą Boga. Ponieważ to On wyposażył jednostkę w elementarne wolności a drugi człowiek nie ma prawa odbierać tego, co gwarantuje Stworzyciel. W momencie negacji Boga, nie ma żadnego punktu odniesienia dla tych praw. Funkcjonują jako koncert życzeń. Obecnie są fetyszem, który nic nie znaczy, a uzasadnia władzę silniejszych; tych którzy głośniej krzyczą i lepiej mobilizują poparcie w swojej sprawie. Nie mają żadnego związku z ideami przyświecającym tym, którzy pierwsi nazwali je w ten sposób. Inna sprawa, że były też osoby od początku krytykujące te idee, uważając je za abstrakcyjne, jak np. Edmund Burke w „Rozważaniach o rewolucji we Francji”.

Można zatem powiedzieć, że liberalizm zawłaszcza demokrację, ponieważ nie uznaje żadnych decyzji demokratycznych, które mogłyby uderzać w liberalne zasady albo podważać prawa człowieka. W tym kontekście spór o sądownictwo w Polsce nie jest żadną walką o wolne sądy, a starciem dwóch koncepcji o władzę.

Jest także sporem o to, jak prawo ma funkcjonować. To nie tylko partykularny, polski problem, posiada on dużo szerszy kontekst. W Polsce przybiera dość jaskrawą formę, ze względu na uwarunkowania historyczno-polityczne, ale jest to refleks szerszego konfliktu. Chodzi o to, że wraz z ideologią emancypacji zmienia się podejście do prawa. Tradycyjnie prawo stanowione tworzyło szerokie ramy, które ujmowały całość życia człowieka, ale pozostawiały dużo przestrzeni wolności regulowanej przez inne, bardziej elastyczne systemy jak obyczaj, kultura, etyka. Prawo z natury rzeczy jest sztywne. Nowa koncepcja prawa opisuje je jako takie, które ingeruje we wszystko i de facto staje się narzędziem w rękach silniejszych, w tym wypadku prawników. Już dawno temu, na początku III RP, powiedziałem, że w Polsce nie mamy rządów prawa, tylko prawników. Niektórzy juryści, owszem, zgadzają się niekiedy, że PiS wprowadzając reformy, odwołuje się Konstytucji, przywołuje jej poszczególne paragrafy, ale zarzucają mu, że nie czyni tego w kontekście całościowego ujmowania prawa. Okazuje się, że potrafią to robić wyłącznie wykwalifikowani prawnicy, pod warunkiem wszakże, iż trzymają się wykładni demonstrowanej przez korporacyjny establishment. Z tego wynika niedwuznacznie, że prawo staje się własnością prawników posiadających szczególne kompetencje, których zwykli obywatele są pozbawieni. W ten sposób prawo przestaje być tym, czym powinno być, a więc jasnym, zrozumiałym systemem regulacji, a staje się wiedzą tajemną, w którą wyposażona jest wyłącznie określona grupa. Ma ona ostateczny głos decyzyjny we wszystkich ważnych sprawach publicznych. Sądy uzurpują sobie prawo do sądenia decyzji politycznych. W rzeczywistości sędziowie, którzy stwierdzają, że ustawa sejmowa jest niewłaściwa, naruszają podstawowy trójpodział władzy. Jeżeli staną się arbitrami, którzy mogą kontrolować decyzje ciał ustawodawczych, sami staną się ustawodawcami. Będą nad parlamentem i wówczas należałoby go

rozwiązać. Ten polski spór jest przejawem zasadniczego konfliktu, który toczy się na zachodzie, a jest refleksem wojny ideologicznej i kulturowej, o której mówię, gdyż sędziowie stają się często forpczta nowej rewolucyjnej doktryny. Ich postawa bywa różnie nazywana, w Stanach Zjednoczonych jest określana jako aktywizm sędziowski, krytykowany przez obrońców tradycyjnego modelu. Pisał o tym między innymi Antonin Scalia, sławny, nieżyjący już amerykański konstytucjonalista. Pokazywał, że prowadzi ona do zakwestionowania porządku demokratycznego, ponieważ powoduje, że to oligarchia sędziowska decyduje o wszystkim. Warto wspomnieć, że ci, którzy odwołują się do Monteskiusza, zwykle go nie czytali, a ci, którzy to zrobili, odwołują się do niego po to, żeby bez zdania racji podeprzeć się klasykiem. Monteskiusz przestrzega, że jeśli tę straszną władzę sądenia oddalibyśmy w ręce określonej grupy, to mielibyśmy despotyzm, jakiego dotąd nie znaliśmy. To mówi ojciec teorii trójpodziału władzy. Jeśli wczytamy się dokładnie, zauważymy, że nie traktuje on władzy sędziowskiej jako władzy sensu stricto. Ale to temat na głębsze rozważanie. Rzecznicy władzy sędziowskiej, którzy odwołują się do trójpodziału władzy nie tylko nadużywają go, ale wypaczają fundamentalnie. Jeszcze jednym zjawiskiem, na które należy zwrócić uwagę, jest rola Trybunału Konstytucyjnego. Trybunały Konstytucyjne upowszechniły się w Europie dopiero pod koniec II wojny światowej, wcześniej było ich niewiele.

Czyli są efektem strachu przed despocją totalitarną.

To był strach niekoniecznie przed totalitaryzmem jako takim, ale przed tym co stało się w Niemczech. Tam demokracja popełniła samobójstwo, ponieważ wybrała tyranie, a przez to sama się unicestwiła. Stąd pomysł stworzenia zabezpieczeń przed tego typu niebezpieczeństwem. Taką

rolę ma pełnić Trybunał Konstytucyjny. Wydawało się to sensowne, pod warunkiem, że trybunał będzie działał w bardzo wąsko określonych zasadach, zajmował się wyłącznie fundamentalnymi sprawami. To co się stało, było, niestety, łatwe do przewidzenia. Niekontrolowana władza dąży do rozszerzenia swoich uprawnień. W Polsce było tak do czasu ostatnich zmian w 2015-2016 roku. Wcześniej, w czasach pierwszych rządów Prawa i Sprawiedliwości w latach 2005-2007, Trybunał odrzucał wszystkie ustawy, odwołując się do jakiegoś ducha Konstytucji, który objawiał się wyłącznie jego sędziom, a był dziwnie zgodny z interesem establishmentu III RP. I nie było dyskusji. Ustalano jakie prawa mogą przejść, a jakie nie, co w efekcie powodowało, że ustawy parlamentu, w którym większość miał PiS były skreślane. W tej chwili polski Trybunał jest dużo skromniejszy, ale działania jego odpowiedników w Europie budzą niepokój. Ich sposób funkcjonowania stanowi ekwiwalent tradycyjnego pierwiastka arystokratycznego. Instytucja taka z zasady pilnować miała, aby demokracja się nie wykoleiła. Odwoływali się do niej między innymi Platon czy Arystoteles. Dariusz Karłowicz pisał o Trybunałach Konstytucyjnych jako funkcjonalnej arystokracji. Problem z arystokracją jest taki, że wymaga ona oparcia w twardo ugruntowanym aksjologicznym porządku. Gdy ład ten nie istnieje, funkcjonalna arystokracja przekształca się w despotyzm, ponieważ niczym nieograniczona podejmować może dowolne decyzje. To jest konsekwencja chętnie hołubionej przez nich ideologii emancypacji.

W kontekście tego, co zostało już powiedziane zauważamy, iż rosnąca siła idei nieliberalnych nie jest przypadkowa, tak jak sukcesy partii określanych mianem populistycznych w Europie. Następuje zmiana paradygmatu. Jesteśmy w momencie gigantycznej walki dwóch porządków.

W książkach „O kulturze i rewolucji” czy „Buncie i afirmacji” wspominam wielokrotnie o buncie narodów, który możemy obserwować w Europie. Jest to odruch obronny ludzi w Europie i Stanach Zjednoczonych. Wybór Donalda Trumpa miał również taki charakter. Zwykli ludzie jako pierwsi przeżywają konsekwencje obecnej rewolucji emancypacyjnej. Odbiera się im prawa, zmienia się funkcjonujące od zawsze obyczaje, narzuca nowe i głęboko ingeruje w ich życie, nawet na najbardziej intymnym poziomie – seksualnym czy rodzinnym. Kwestionowane jest prawo do obrony ich naturalnego środowiska, otwierając je dla innych grup kulturowych, co kreuje nieuniknione w takich przypadkach napięcia i konflikty. Ludzie zaczynają się bronić, a w tym celu próbują się zorganizować. Problem polega na tym, że o ile w Polsce, na Węgrzech czy w USA przetrwała tradycyjna kultura zachodnia i jest na tyle silna, że posiada swoją reprezentację, to w Europie zachodniej została ona zdekapitowana. Elity zachodnioeuropejskie zostały zhomogenizowane, przesunięte na lewo i dziś tak zwane konserwatywne, prawicowe partie w podstawowych sprawach niczym się nie różnią od lewicowych. CDU zaczyna przypominać SPD i nieprzypadkowo tworzy z nią sojusz. Torysi, za czasów Davida Camerona, uznali, że małżeństwa homoseksualne są czymś oczywistym i należy je wprowadzić, czym zakwestionowali fundament kulturowy naszej cywilizacji. I tak dalej. Wymownym przykładem jest Jean-Claude Juncker, jeden z przywódców Chrześcijańskiej Demokracji, częściej nazywanej chadecją. Oficjalnie pojechał do Trewiru na obchody dwusetnej rocznicy urodzin Karola Marksa, największego wroga religii, aby złożyć mu hołd. Pokazał tym samym, że słowo chadecja nic nie znaczy.

Podobno to Donald Tusk jest nadzieją chadeków.

Spuśćmy może w tym miejscu zasłonę milczenia. Nie będę wypowiadał się tutaj o doraźnej polityce, mówimy o trochę głębszych sprawach, na których wykwitają takie postaci jak Juncker czy Tusk. Problem polega na tym, że ruchy narodowościowe odwołujące się do tradycyjnego porządku aksjologicznego i kulturowego w zachodniej Europie nie zawsze mają swoje przywództwo. W tej chwili, we Włoszech wydaje się ono odtwarzać. Biorąc pod uwagę Zgromadzenie Narodowe, które jest sukcesorem Frontu Narodowego we Francji, można mieć spore wątpliwości. Spoglądając na Alternatywę dla Niemiec, też można mieć wątpliwości czy w odniesieniu do niej epitet populizmu nie jest trochę na rzeczy. Są to partie, które odwołują się do prostych odpowiedzi na złożone problemy.

Mówienie o dzisiejszych populistach jako tych, którzy nawiązują do tego co było w latach 30. wydaje się być nadużyciem, a wręcz kompletnym nieporozumieniem.

To nonsens. Faszyzm i nazizm są martwe od czasów wojny. To znaczy są jakieś pojedyncze grupki mało znaczące, ale to margines marginesu. Czy on się może odrodzić? Nie znam przyszłości. Dominujące środowiska zachodnie, zrobiły bardzo dużo, aby się tak stało. Banalizowanie go i stwierdzanie, że każde nawiązanie do tradycji konserwatywnej i odwołanie do etyki heroizmu jest prostą drogą do faszyzmu jest nie tylko totalną manipulacją i zakłamaniem, ale także ułatwia powrót tamtych zagrożeń. Chęć utożsamienia swoich prawicowych przeciwników z nazizmem czy faszyzmem, co jest historycznie i politycznie nieprawdziwe, prowadziło do zbanalizowania przerażających zjawisk. Nazizm był straszny i faszyzm był zły. Warto się tego trzymać. Jeśli ludzie przyzwyczajają się, że każdego można tak

nazwać, wówczas te pojęcia przestają być groźne i tracą charakter tabu. Podobnie jest z antysemityzmem w Polsce. Największy udział w odrodzeniu się antysemityzmu w Polsce ma „Gazeta Wyborcza”, która każdego swojego wroga wyzywała od antysemitów. Po pierwsze, doprowadziła do tego, że pojęcie stało się nic nieznaczącym epitetem politycznym. Po drugie zwykły człowiek zaczyna się przyzwyczajać do tego, że antysemityzm oznacza brak zgody z Wyborczą i z dominującymi trendami w Polsce, a więc ma pozytywny sens.

Przypominam sobie słowa Hillary Clinton w kampanii prezydenckiej, która nazwała wyborców Donalda Trumpa rasistami, seksistami, homofobami, ksenofobami, islamofobami. Ogółem żałosnymi ludźmi.

Generalnie Amerykanie są żałośni, tak jak i Polacy. Wiadomo, że ci, którzy nas nie wybierają są żałośni.

Myślę, że bardzo istotnym momentem w 2014 roku było wystąpienie Viktora Orbána, który po raz pierwszy zupełnie otwarcie wprowadził do języka polityki pojęcie neoliberalnej demokracji.

Właśnie, do języka polityki sensu stricto, ponieważ w sensie myślenia politycznego, pisało i mówiło się o tym już wcześniej. Pisałem o tym ja, ale przede mną Roger Scruton czy Ryszard Legutko. Natomiast podejście to publicznie odczarował Orbán.

Przy czym uznał, że przyjęcie tego modelu przez kraje Europy Wschodniej to zgoda na samobójstwo. Dość mocne sformułowanie.

Jest to efekt doświadczenia, gdyż lewicowo-liberalna ideologia była narzędziem kolonizacji krajów Europy Środkowo-Wschodniej przez silniejsze kraje i ośrodki Europy Zachodniej.

W swoim wystąpieniu mówił: „Nie chcemy być kolonią”.

Nowa doktryna to narzędzie ideowej, ale także dosłownie rozumianej gospodarczo-politycznej kolonizacji. Mamy bezgranicznie otwierać się na konkurencję z potężnymi ośrodkami gospodarczymi, dużo silniejszymi niż nasze, które jednocześnie bardzo dbają o swoje interesy i blokują liberalne reguły w odniesieniu do swoich krajów. My – kraj o wiele biedniejszy nie możemy pomagać swoim stoczniom, bo to naruszenie norm, ale Niemcy mogą wspomagać swoje. W efekcie, polskie stocznie, które miały szansę być konkurencją dla niemieckich, zbankrutowały w czasach rządów Donalda Tuska i Platformy Obywatelskiej. Ale jest to szersze zjawisko, ma wymiar gospodarczy, ale i kulturowy. Narzuca nam się określony model ustrojowy, instaluje specyficzne instytucje i wspiera dużymi pieniędzmi. W imię wolności, praw człowieka czy wartości Unii Europejskiej wielkie fundusze wpychane są w lewicowe, emancypacyjne projekty, czyli dokonywana jest transformacja społeczna. Niby wspólne pieniądze, są zawłaszczane i wykorzystywane bez pytania nas o zdanie do ideologicznej krucjaty na

terenie naszego kraju. Unia Europejska od kiedy powstała, czyli od traktatu w Maastricht, stała się poza wszystkim również wehikułem tej nowej ideologii.

Zgadza się Pan ze stwierdzeniem, że demokracja nieliberalna zakłada, iż suwerenność narodowa i wybory grają istotną rolę, lecz niektóre zasady liberalne, na przykład normy konstytucyjne i wolności indywidualne mogą zostać uchylone, gdy sytuacja tego wymaga. Czy nie grozi nam pewna forma cezaryzmu?

Po pierwsze, nie chodzi o nieliberalną demokrację. Powtarzam jeszcze raz, czysta demokracja, sama w sobie nie jest żadną ideą. Pozostaje pytanie jaka demokracja?

Czyli nie powinniśmy fetyszyzować demokracji jako idei...

To znaczy, ona jest pewną metodą wyboru władz, czy też innym określeniem na samorządność. Ale samorządność jeszcze niczego nie przesądza, nie wiadomo za bardzo na czym ona ma stanąć i czym ją uzasadnić. Ja bym się odwołał do idei republikańskich. Do tego, że istnieje wspólnota i jest ona wartością. Republika nie musi być rządzona koniecznie w sposób demokratyczny. Zresztą historia uczy, że demokracja przegrywa, kiedy wykracza poza swój wspólnotowy wymiar. Demokracja etymologicznie to władza ludu: „demos” – lud, „kratos” – władza. Demos to zbiorowość, która ma poczucie dobra wspólnego. Jeśli go nie ma, to trudno mówić o jakiegokolwiek demokracji. Niemożliwym jest wprowadzenie demokracji w sztucznych państwach afrykańskich, których mieszkańcy mają poczucie wspólnoty plemiennej

i zawsze byli zorganizowani w tych zbiorowościach. Ci, którzy wygrywają wybory, działają na korzyść swojego plemienia, nie zwracając uwagi na pozostałe lub nawet przeciwko nim. Demokracja staje się wydmuszką, legitymacją dla rządów danego plemienia. Jeśli nie mamy wspólnoty, współcześnie narodu, jednym słowem: nie mamy *demosu*, pozostaje sam *kratos*, czyli władza. W Grecji *polis*, czyli miasta-państwa, które same się rządziły, skończyły się wraz ze zwycięstwem Aleksandra Macedońskiego, tworzącego ponadnarodowe, wielkie imperium. Twórca filmu o nim, Olivier Stone wychwala go. Jest zafascynowany tym, że władca odwoływał się do ludzkiej wspólnoty, która przekracza narodowe partykularyzmy. I rzeczywiście tak było. Dla swojej absolutnej władzy Aleksander potrzebował takiego uzasadnienia. Dlatego wchodził w konflikty ze swoimi macedońskimi przyjaciółmi i towarzyszami walki, eliminował ich i zabijał ponieważ oni ciągle kierowali się wspólnotowym poczuciem, zgodnie z którym wódz, przywódca, król jest tylko *primusinter pares*, ale nie bogiem. Fascynacja lewicy dla dyktatorów nie jest przypadkowa.

**Unia Europejska tworzy struktury ponadnarodowe.
Ponadnarodowy rząd był w Związku Radzieckim.**

Takich projektów było więcej. Były wizje, że po II wojnie ONZ stanie się ponadnarodowym rządem. Również eksperyment Unii Europejskiej prowadzi do ponadnarodowych struktur. Władza odrywa się od społeczeństwa. W ogóle typowe dla obecnych czasów jest alienowanie się władzy od ludu. Natomiast, nie ma czegoś takiego jak deficyt demokracji w Unii Europejskiej, ponieważ nie ma takiego zwierzęcia jak demokracja europejska. Ten system nie może działać na poziomie

kontynentalnym, bo nie ma *demosu* europejskiego. Pomimo istnienia pewnej szeroko rozumianej wspólnoty kulturowej, jest ona zbyt luźna, aby zbudować egzystencjalną jedność niezbędną dla demokracji.

Czyli ideologia emancypacji ma być tym spoiwem budowania *demosu* europejskiego.

Ma ona służyć rozbiciu wszelkich wspólnot i zastąpić je masą samokreujących się jednostek. A ponieważ autokreacja to mit, faktem pozostaje samotny, wyalienowany tłum. Natomiast, za kulisami tego wyobrażenia o światowym, w tym przypadku europejskim rządzie, zawsze władzę przejmują silniejsi. W Europie ostatnio są to Niemcy. Chociaż też mogą okazać się zbyt słabi, aby Unię kontrolować. Wcześniej był duet francusko-niemiecki, ale rozpadł się ze względu na słabość Francji. Teraz, ze względu na nieprzystające do rzeczywistości ambicje prezydenta Macrona, Francja znowu próbuje wpisać się w układ dominujący na naszym kontynencie. Oczywiście kieruje się partykularnymi, francuskimi interesami. Francuzi czy Niemcy traktują Europę jako platformę pozwalającą realizować ich własne, narodowe korzyści, które są nam sprzedawane jako europejskie dobro.

Przypominam sobie taką sytuację, kiedy to jeden komisarz, bodajże Niemiec, nie pamiętam dokładnie szczegółów, po takich emancypacyjnych działaniach Włochów, powiedział, że rynki finansowe nauczą Włochów pokory.

Słyszemy cały czas, że istnieje jeden przedustawny porządek ekonomiczny, który reguluje wszystko. Bez przesady. Oczywiście, gdyby ktoś działał radykalnie nieracjonalnie ekonomicznie, no to dość prędko, zwłaszcza w obecnych warunkach, może ponieść tego konsekwencje. Ale w wypadku UE okazuje się, że rynki działają pod dyktando Niemiec.

Podstawowym argumentem obrońców, nazwijmy to starego ładu, czyli liberalizmu, jest przekonanie, że liberalizm nie powinien zakładać, jakie są dobre rozwiązania, bo na przykład większość demokratyczna, czyli demos, doprowadziła do wyboru Hitlera do władzy. Demos może się mylić.

Demos może się mylić, ale tym bardziej mogą się mylić oświecone elity. Zgodnie z dominującą doktryną państwo musi być neutralne. Otóż państwo nie może być neutralne i z pewnością nie jest taki jego liberalny wariant. Dlatego, że wspólnota, żeby istnieć musi mieć pierwotne założenia i cele. Państwo narodowe działa na rzecz dobra obywateli – członków politycznego narodu. Pytanie brzmi, co jest ich dobrem i czy można je sprowadzić wyłącznie do ekonomicznego interesu? Podejście takie to niesłychana redukcja człowieka. Jej efektem jest libertariańska utopia, wyobrażenie, że ludzie funkcjonować powinni wyłącznie na zasadzie doraźnych kontraktów. Zgodnie z nią najlepiej w ogóle pozbyć się państwa. Konsekwentna wizja liberalnego, neutralnego państwa, prowadzić winna do jego samounicestwienia. Otwiera przestrzeń dla inicjatywy ludzi, nie przeszkadza im działać i pełni funkcję stróża nocnego. Wyrasta z wyobrażenia człowieka skupionego wyłącznie na potrzebach materialnych, a jego funkcjonowanie zostaje sprowadzone do ich

zaspokajania, czyli do gospodarki, która zapewnia narastający dobrobyt. Ale nawet taka gospodarka musi funkcjonować w jakimś porządku aksjologicznym. Jeśli budujemy jakiś prawny ład, to musimy oprzeć go na normach, inaczej go nie jesteśmy w stanie stworzyć. Nie powołamy go bez porozumienia na temat sprawiedliwości. Ludzie łączą się i żyją we wspólnocie, dlatego że dzielą ze sobą tożsamość. Poza wszystkimi różnicami możemy powiedzieć, że łączy nas coś elementarnego. Dlatego możemy się porozumieć i współdziałać. Każde państwo podejmuje aktywności, które wykraczają poza ochronę prawnego porządku. Musi więc odwołać się do określonych zasad. Coś jest dobre, a coś złe dla wspólnoty. Dla Locke'a było oczywiste, że aby fundować prawa człowieka, potrzebna jest religia. We współczesnym, pseudoneutralnym porządku usiłuje się wypchnąć ją ze sfery publicznej a więc unicestwić. Nie ma to nic wspólnego z neutralnością. Religia ma charakter publiczny, inaczej nie może funkcjonować. Neutralność państwa przekreśla jakkolwiek, poważnie rozumianą tożsamość. A człowiek jej właśnie nie tylko utylitarnie potrzebuje, dlatego naród, to wspólnota losu, polegająca na głębokim poczuciu tożsamości i zgodności indywidualnej egzystencji z dobrobytem jej innych członków. Wiemy, że jeśli wspólnocie będzie działało się dobrze to i nam będzie lepiej. Bez podstawowego zrozumienia tej zasady, nie można zbudować żadnego dłużej funkcjonującego ciała politycznego.

A procesy zarządzania? Na ile kwestia pojawienia się nieliberalnej demokracji jest związana z faktem konieczności podejmowania szybkiej decyzji?

Ale nieliberalna demokracja to tylko negatywne określenie. Liberalizm nie jest niezbędny do tego, żeby istniała demokracja. Wręcz przeciwnie, okazuje się, że prowadzi do wydrążenia demokracji z jej

fundamentalnych zasad. Natomiast pojęcie „nieoliberalna demokracja” nie jest jeszcze żadnym systemem, nie wiemy, co to jest. Było potrzebne, po to, żeby podkreślić, że właśnie bez liberalizmu demokracja może naprawdę funkcjonować.

Nie oznacza to faktu, że system parlamentarny i przedstawicielski uległ wyczerpaniu.

Nie wiem, co uległo wyczerpaniu, a co nie i na jakiej podstawie ktoś formułuje takie apodyktyczne tezy. Są to takie heglowskie formuły. Bez przerwy słyszę, że coś się skończyło, coś umarło. Czytam różnych teoretyków, którzy piszą, że umarło już wszystko: naród i wspólnota, literatura i powieść, muzyka i malarstwo, Bóg i religia. W rzeczywistości odeszli wszyscy ci, którzy to mówili, a to, co skazywali na nieistnienie, trwa w najlepsze. Wciąż czytam, że coś się wyczerpało. Przecież tego nie wiemy. Pewne formy zwykle się zmieniają wraz ze zmianą okoliczności historycznych. Trudno sobie wyobrazić, że wrócą w identycznym kształcie. Żyjemy przecież w zupełnie innych warunkach. Są tacy bezrozumni konserwatyści, zachowawcy, którzy chcą dosłownie reprodukcja tradycje z innej epoki, na przykład współcześni monarchiści. Chcą powołać monarchię, która nie ma obecnie żadnego uzasadnienia i nie ma do czego się odwołać. Skąd wziąć tego króla, na jakiej zasadzie ma on mieć tradycyjny autorytet? Nie znaczy to jednak, że dawne formy rządów nie mogą wrócić w kształcie dostosowanym do nowych okoliczności. Tak jak wróciła demokracja, ale nie taka bezpośrednia jak w polis, ale odmienna – pośrednia. Ci, którzy mówią, że pewne podstawowe formy ustrojowe jak demokracja się wyczerpały, że już nic z nich nie będzie, nie mają wiedzy jaka będzie przyszłość. Widzieliśmy już wielokrotnie odradzanie się rozmaitych, podobnych idei po setkach lat. Powracają w

innym nieco kształcie, ale esencjonalnie można uznać je za tożsame. Współcześnie, nie widzę, żeby demokracja się wyczerpała. Obserwuję inne zjawisko: usiłuje się tę władzę ludu pozbawić realnego znaczenia, odwrócić jej sens i perwersyjnie zdeformować. Mówi się o demokracji w sferach, gdzie absolutnie nie ma ona racji bytu – rodzina, szkoła, uniwersytet, wojsko, zakład pracy. Tam ona nie ma nic do gadania, pełniłaby tylko funkcję destrukcyjną. Demokracja funkcjonuje wyłącznie w pewnego typu autotelicznych instytucjach, które same dla siebie są wartością. Zakład pracy ma charakter użytkowy i powołany został po to, aby coś produkować, to jest jego celem. Nie liczy się to, jak są zorganizowani piekarze, tylko ważne jest jaki pieką chleb. Ja widzę, że demokracja jest w tej chwili zagrożona, jest atakowana, ale jednocześnie się odradza. Obserwuję napięcie, ale ono jest stałe w życiu politycznym. Tak było również w starożytnej Grecji. Notujemy zadziwiająco podobne zjawiska. To uderzająca i zdumiewająca tożsamość oraz siła natury człowieka. Pomimo tak odmiennych warunków, człowiek działa mniej więcej analogicznie. Odwołuje się do podobnych impulsów, zasad i swoich naturalnych skłonności.

Unikając już pojęcia nieliberalna demokracja, czy azjatycki model zarządzania reprezentowany między innymi przez Rosję i Władimira Putina, a także Chiny, nie stanie się atrakcyjny? Nicolas Sarkozy mówił o tym, że trudno być skutecznym prezydentem, w sytuacji, kiedy plan jest tylko czteroletni, a planować trzeba na kolejne dwadzieścia lat.

Czy w dłuższych okresach despotyzm okazuje się bardziej sprawny niż nie-despotyzm? Historia tego nie potwierdza. Krótkotrwale, do jakichś konkretnych przedsięwzięć może okazać się skuteczniejszy, ale w dłuższej perspektywie jest odwrotnie. Pionowe struktury nie są w

stanie ogarnąć złożoności współczesnych procesów cywilizacyjnych. Jakoś Putin nie stworzył sprawnie działającego państwa. Powiedzenie tak o Rosji, to mówiąc delikatnie, bardzo odważna teza. To państwo funkcjonuje fatalnie. Nadal jest ono wielkie, ma ogromne bogactwa naturalne, których nie jest w stanie nawet przetworzyć i wykorzystać, co pokazuje jego słabość. Nie widzę żadnego specyficznego, putinowskiego modelu poza niespójną kombinacją ogromnych ambicji, nieudolności i korupcji. Zachwyty nad Chinami są na wyrost. Głoszą je ludzie, których wiedza o tamtej rzeczywistości jest ograniczona. Moja również, ale ja nie aspiruję, żeby apodyktycznie się na ten temat wypowiadać. Jeśli startujemy z bardzo niskiego poziomu jak to było w Chinach, to stosunkowo łatwo było osiągnąć w miarę szybki wzrost. Nie zdajemy sobie jednak sprawy, ze stanu tamtego państwa. Na jakich nogach stoi kolos chińskiej ekonomii tego nie wiemy dokładnie. Od jakiegoś czasu ta gospodarka się krztusi. Dług wewnętrzny jest bardzo duży. To ogromne społeczeństwo, które znacznie przekracza populację Europy. Paręset milionów, które osiągnęło dobry status to atrakcyjny rynek dla przedsiębiorców, którzy chcą go zagospodarować i siłą rzeczy narzucają wyobrażenie chińskiego cudu. Zapominamy jednak, że większość Chińczyków żyje w biedzie i w kiepskich, dla nas trudnych do zaakceptowania warunkach. Opowieści o wolnym chińskim rynku to nonsens, bo to żaden wolny rynek a dziwna hybryda.

W kontekście azjatyckiego modelu, chodzi mi o jego wpływ na działanie tak zwanych elit europejskich, które mogą stać się antydemokratyczne.

Nie dostrzegam żadnego wpływu. Natomiast możemy analizować inne realne azjatyckie sukcesy gospodarcze. Przede wszystkim w Japonii, Korei, Tajwanie – to są te tygrysy. Można tam zaobserwować było

pozytywny ekonomicznie wpływ państwa. Później ujawnił on swoją dwuznaczność. Społeczeństwa wschodnie ze względu na specyfikę kultury są bardziej zdyscyplinowane, co pomaga w rozwoju tamtejszej gospodarki. Taka subordynacja przydałaby się na zachodzie. Ale u nas o nią z kolei jest bardzo trudno. Nie wyobrażam sobie teraz narzucenia jej odgórnie.

Ostatnia kwestia, którą chciałbym poruszyć, dotyczy kryzysu demokracji państwa narodowego na zachodzie. Chodzi o niewydolność państwa narodowego w zarządzaniu, w porównaniu ze skutecznością korporacji.

Siłą rzeczy państwo narodowe nie jest korporacją i tego typu porównania świadczą o nieprawdopodobnie ograniczonym podejściu do sprawy ze strony naszych liberałów. Państwo jest bytem wielopoziomowym i nie służy produkcji czegokolwiek. Celem korporacji jest osiągnięcie zysków, niektóre z nich zdobyły potężną siłę, ale wcale nie są aż tak skuteczne. Wręcz przeciwnie, ich wielkość staje się obciążeniem. Współcześnie, w dużej mierze pasożytują one na państwie. I nie chodzi tylko o oligopole, które zdobywane są przy współpracy z władzami metodami nierynkowymi. Chodzi o stan rzeczy, w którym państwo nie pozwala na bankructwo potentatów ekonomicznych „zbyt wielkich, aby upaść”. Oznacza to, że jak w ostatnim kryzysie państwo, a więc wszyscy obywatele wspierają zagrożone korporacje, choć nie partycypują w ich zyskach, co prowadzi ich zarządy do braku ostrożności w dysponowaniu posiadanymi środkami, do pokusy nadużycia (*moral hazard*).

Państwo musi projektować na długie lata, a powinno na pokolenia, choć demokracja w tym przeszkadza

Państwo nigdy nie będzie doskonale skuteczne ekonomicznie, bo dobrobyt w sensie materialnym nie jest jego wyłącznym

celem. Gdybyśmy nawet założyli, że jest, co nie świadczyłoby o nas najlepiej i tak rodziłoby to kolejne wątpliwości: w jakiej perspektywie czasowej postrzegamy to dobro, na jakie nierówności gotowi jesteśmy się zgodzić itp. Wielkie korporacje dziś dążą do natychmiastowych zysków. Państwo musi projektować na długie lata, a powinno na pokolenia, choć demokracja w tym przeszkadza. Wybory, demagogia wprowadzona w walkę wyborczą strasznie utrudniają dłuższe planowanie. To jest fundamentalny problem demokracji.

Jest jeszcze jedno zagrożenie współczesnego świata, o którym nie mówiliśmy. Chodzi o materialny kształt naszej cywilizacji, czyli technikę, która w związku z gospodarczym postępem wyalienowała się, stała się samoczynna. Uwalnia mechanizmy reprodukcji i multiplikacji niezależnie od woli osób, które na pozór nią kierują. Z jednej strony korzystamy z tego, ale z drugiej płacimy ogromną cenę, z której nie zdajemy sobie sprawy, ponieważ producenci, dbają, żeby pokazać nam wyłącznie pozytywną stronę procesu. Służy temu wielki przemysł marketingowy, który powoduje, że nie mamy wystarczającego dystansu do technicznego postępu. Trudno wyobrazić nam sobie życie bez kolejnej generacji smartfona. Nie zastanawiamy się, ile nas to kosztuje w sensie czasu i podporządkowania owym umownym ułatwieniom całości naszej egzystencji. Postęp techniczny zaczyna projektować nasze życie jałowiąc je i wypłukując z pierwiastków duchowych.

Dodatkowo proces ten prowadzi do problemów ekonomicznych. Teoretycznie kultura i polityka powinny stanowić jego przeciwwagę, ale przez ideologię emancypacji i liberalną destrukcję polityki, te bariery są eliminowane. Uwolniony mechanizm gospodarczo-technologiczny hula coraz gwałtowniej wraz ze wszystkimi swoimi negatywnymi konsekwencjami.

Rozmawiał Maciej Mazurek

Foto: ipn.gov.pl